



Fragment książki „Gorzko, gorzko” Joanny Bator

Kategoria II dla zaawansowanych

Gorzko, gorzko

Joanna Bator

Ja

Tej jesieni kupiłam stuletni dom w górskiej wiosce na Dolnym Śląsku. W gratisie był pies, z pyska przypominający wilka, a z racji tuszy podobny do zakurzonego polarnego niedźwiedzia. Jedno ucho ma czarne, drugie białe, oba spiczaste i czujne. Po poprzednich właścicielach zostało też parę sprzętów, między innymi kredens kuchenny, łóżko z kolumnami i masywny dębowy stół o blacie pełnym nacięć, wyglądających jak osobliwe pismo, które co dzień próbuję odczytać.

Za czasów niemieckich miejscowość nazywała się Görbersdorf i słynęła z pierwszego na świecie sanatorium dla gruźlików, których doktor Hermann Brehmer i jego następcy leczyli klimatem i odpowiednią dietą. Teraz nosi nazwę Sokołowsko (...). To najmniejsza miejscowość, w jakiej żyłam, za to pies trafił mi się ogromny, porośnięty gęstą sierścią, którą rozczesałam dopiero końskim zgrzeblem. Pod nią jego skóra jest różowa, poznaczona bliznami, delikatna jak u dziecka. Wyczesany podszerstek, tak miękki, że nadawałby się do przedzenia, wydziela ciepły zapach, który przypomina mi syrop klonowy i torf. Zwierzę pojawiło się po

trzech dniach, od kiedy się wprowadziłam, i po prostu usiadło przy budzie w chłodnej godzinie przedświt, nierealne w swoim majestacie. Z jego pyska unosiły się obłoczki pary i gdy otworzyłam drzwi, pies spojrzał prosto na mnie, ale nie podszedł od razu.

W wiejskim sklepie powiedziano mi, że wcześniej był towarzyszem Bazyla Ochęduszki, jasnowidza i uzdrowiciela, który, gnębiony kłopotami i pogrążony w rozpacz, sprzedał dom biznesmenowi z Wrocławia, po czym rozpląnął się we mgle wiszącej nad kotliną. Podobno nie żyje, utonął, ale nie znaleziono jego ciała. Miastowy najpierw wywiózł gdzieś psa, i to dwa razy, ten jednak wracał i krążył koło domu, szczerząc kły. W końcu nowy właściciel pogodził się z jego obecnością, choć raczej ze strachu niż z sympatii, a tę bez powodzenia próbował sobie zaskarbić u tubylców, udając, że wrasta w to miejsce. Jakoś zwabił psa i odtąd trzymał go na łańcuchu przy budzie, którą kazał zbudować miejscowemu stolarzowi, zwanemu Zupą Macieja, bo przyrzekłszy swojej żonie nie przeklinać, używa rymujących się zamienników grubszych słów. Do zupy z tymi ścianami!, denerwował się, gdy montował półki na książki na krzywiznach mojego domu, ale wyszły pięknie, bo Zupa Macieja jest prawdziwym mistrzem. Na człowieka, od którego kupiłam dom, mówiono po prostu Atentam, bo od początku przeczuwano, że mimo tej budy i dobrej miny do złego psa nie zasługuje na więcej. Takie miejsca jak Sokołowsko są bezlitosne i kapryśne, albo przyjmują nowo przybyłych po królewsku, albo wypluwają jak pestkę, kierując się nieodgadnioną logiką. Po kilku miesiącach pies znikł, a Atentam chodził po wsi i pytał, kto mu go spuścił, bo utrzymywał, że łańcuch przecięto. Skarżył się też na powtarzające się awarie elektryczności i wodociągu, irytujące tym bardziej, że zawsze kończyły się przed przybyciem serwisantów, a wracały z impetem tuż po ich odejściu. W końcu wystawił dom na sprzedaż. Pies przepadł bez śladu na kilka miesięcy i powrócił dopiero, gdy Atentama już nie było. Gdziekolwiek przebywał, dobrze go karmiono, bo, jak mi powiedziano, uciekł w świat chudy. (...)

Mieszkańcy wsi znali Bazyla Ochęduszkę, ale nikt nie pamiętał imienia jego psa, jakby zwierzę przed moim przyjazdem strząsnęło z siebie miana nadane mu przez człowieka. Spróbowałam szczęścia, bo zamieszkując nowy świat, jakim dla mnie jest ta wioska, nie da się przeżyć bez nazywania, choćby prowizorycznego, chociaż wolę ten proces nazywać osvajaniem. Przykładam więc po prostu nazwę do jej domniemanego desygnatu tak, jakbym podsuwała obcemu zwierzęciu miskę z jedzeniem, zje to dobrze, nie tknie, poczekamy i spróbujemy czegoś innego. Bruno to pierwsze imię, jakie przyszło mi do głowy, gdy patrzyliśmy na siebie z psem w szarym blasku. Wokół pachniało lasem, ziemią i palonym węglem, którego drobiny drażniły mi gardło, trawił mnie smutek, na który nie ma lekarstwa, więc w nagłym przypływie nadziei

pomyślałam, że zwierzę przyszło do mnie w prezencie, zesłane przez Bazyla Ochęduszkę jako pocieszenie. Nie wiem, co myślał pies, ale ja poczułam się obdarowana. To rzadkie i piękne uczucie, które domaga się wzajemności. (...)

Ruszaj się, Bruno, powiedziałam więc, gdy tak staliśmy naprzeciw siebie, ja w drzwiach mojego nowego domu, pies o różnokolorowych uszach przy pustej o tej porze drodze. Idziemy na piwo, niechybnie brakuje tam nas, zabrzmiało jak zaklęcie. Pies wstał, przeciągnął się i podszedł do mnie tak ostrożnie, jakby stąpał po polu minowym. Pachniał topniejącym śniegiem, kielkowaniem i czymś słodkim. Zdecydowanie był w tym syrop klonowy. Dałam mu dłoń do powąchania, a jego długi wilczy pysk doskonale się w nią wpasował. Poczułam na palcach wilgotne ciepło. Odtąd Bruno nie odstępował mi na krok, tylko nocą za nic nie chce zostać w środku i gdy nie mogę spać, widzę, jak krąży wokół domu, w świetle księżyca jeszcze bardziej podobny do przybrudzonego polarnego niedźwiedzia, który zabłąkał się tu ze swojej topniejącej krainy. Musi zrzucić trochę wagi i chyba pogodził się z tym, że dostaje jeść raz dziennie, a spod jego misiowatości wydobywa się silne ciało drapieżnika. Jest wilkiem w niedźwiedziej skórze.